

Stanisław **DYGAT**



Pożegnania

Stanisław Dygat

POŻEGNANIA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-78-4

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Tekst: PIW, Warszawa 1981

SPIS TREŚCI

[Część pierwsza](#)

[Część druga](#)

Część pierwsza

Uniwersytet wrzał i huczał. Był maj, miesiąc, w którym kwitną bzy i wędną zimowe troski. Ze wstrętem przedzierałem się do kwestury przez tłum migocący rumianymi gębami, laskami, korporanckimi „deklami” i wrzaskiem wznoszącego się pod sufity hymnu o potężnej Polsce od morza do morza. W niszy koło schodów tęgi, rumiany korporant okładał laską małego, rudego Żydka. Pociemniało mi w oczach ze złości. Podbiegłem i pchnąłem korporanta, który przewrócił się, ja tymczasem nasunąłem Żydkowi kapelusz na głowę, wziąłem go pod rękę i przeprowadziłem do wyjścia. Żydek dał się ciągnąć jak kukła. Szła mu krew z nosa i miał rozciętą brew. Zaprowadziłem go do apteki, gdzie go opatrzyli, potem do cukierenki. Kazałem dać mu dużą kawę i dopiero przy stoliku przemówiliśmy do siebie po raz pierwszy. Moja złość i podrażnienie rozciągnęły się i na rudego Żydka: byłem wobec niego opryskliwy.

– Po co pan się tam pcha, do jasnej cholery – powiedziałem – nie wie pan, że biją Żydów? Ten bydlak zatłukłby pana, gdybym nie był przyszedł.

Żydek przechylił głowę, jakby się uśmiechnął:

– Panu się zdaje – odpowiedział – że jak pan jednego małego Żydka uratował, to załatwił pan wielką sprawę? Świata pan przez to nie zmieni!

Wstał, wyciągnął rękę:

– Dziękuję!

– Dokąd pan idzie?

– Tam... wracam.

– Czy pan zwariował?

– Ja się zapisałem na uniwersytet i ślubowałem sobie sumiennie uczęszczać.

Wyszedł zostawiając mnie w beładzie nie dającego się odmienić świata. Nie usiłowałem nawet pobiec za nim, żeby go zatrzymać. Wzruszyłem tylko ramionami.

– Czy zapłaciłeś wreszcie chesne? – zapytał mnie w domu ojciec.

– Nie jeszcze. Jutro zapłacę.

Klepnął się z irytacją po udach.

– No widzisz. Jutro! Wszystko jutro! Ty nie jesteś w stanie załatwić najprostszej sprawy. Ty w ogóle nie nadajesz się do życia.

– Nie nadaję się.

Tego wieczoru byli w naszym domu goście. Goście bywali u nas w każdy ostatni czwartek miesiąca, biedermeierowski stolik w salonie nakryty był śnieżną serwetą, na nim wielki kryształowy talerz z ptifurkami, obok taca z miniaturowymi kanapkami: szynka z pomidorkiem i ogórkiem, sardynka z cytrynką i tak na przemian. Obok mniejszy stolik, ogromna srebrna taca, na niej srebrny dzbanek do kawy i porcelanowy do herbaty, talerzyki, widelczyki, łyżeczki, serwetki, filiżanki – mniejsze do kawy, większe do herbaty. Na pięć minut przed godziną wizyty ojciec zwykł wchodzić do salonu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy nic nie razi oka, przy tym w sposób taki, jakby myśl ta właśnie wpadła mu do głowy, brał stojącą w głębi fortepianu fotografię matki, zdjęcie z balu na „żłóbek dziecięcy”, uchwycony moment karotowania, w którym premier wrzuca do puszek matki 100 złotych (premier śmieje się, matka śmieje się wdzięcznie i z wdzięcznością), stawiał ją na mahoniowej skrzynce na stoliku tuż przy drzwiach wejściowych do salonu i przyglądał się jej chwilę. Po wizycie fotografia wracała natychmiast w głąb, na fortepian. Z gości bywających na czwartkach tylko dwie osoby stanowiły dla mnie atrakcję: profesor Janowski, słynny lekarz i profesor uniwersytetu, oraz profesor Michniewicz, pianista i profesor konserwatorium. Znali się ze sobą tylko z naszych czwartków i byli, według powszechnego mniemania, zaciekłymi antagonistami. Jeżeli jeden z nich coś powiedział, drugi spieszył

natychmiast ze zdaniem odmiennym. W istocie byli to tędzy kpiarze, którzy na mocy nie mówionego porozumienia drwili ze wszystkiego i ze wszystkich.

Gdy tego dnia wszedłem do salonu, zastałem już profesorów, którzy wiedli ze sobą głośnie sprzeczkę. Jeden za motoryzacją, drugi przeciw. Od razu zrozumiałem, o co chodzi. W salonie była wśród paru jeszcze innych osób Lola Misińska. Lola Misińska to był koszmar. Osoba podstarzała, w wielkich jeszcze pretensjach, zawsze kolorowo ubrana, rozgadana, uszminkowana, nadużywająca sztucznych, egzaltowanych słów i sztucznych, egzaltowanych gestów, zadowolona z siebie bezgranicznie, aż do upojenia. Ani w stosunku do swego wyglądu, ani do sposobu bycia, ani do inteligencji nie mająca nigdy najmniejszych zastrzeżeń. Była oficjalnie najlepszą przyjaciółką mojej matki, ale nawet jej działała na nerwy, co wyrażało się w wypowiedzianych z hamowaną irytacją zdaniach zaczynających się od słów: „No wiesz, Lolu, że też ty zawsze...” Lola, jak w końcu każdy człowiek, musiała posiadać również lepsze strony charakteru, ale jeśli je miała, to były one tak zachwaszczone minami i gestami, że nie można było marzyć o tym, ażeby się przez nie do tych lepszych stron przedrzeć. Stanowiła główny cel kpin profesorów, przyjmowała je jednak jako dowód zainteresowania i adoracji i wzmacniało to, jeśli cokolwiek jeszcze mogło wzmocnić, jej upojne z siebie zadowolenie. Przed paru dniami Lola kupiła sobie auto i tym autem wszystkich zanudzała. Kiedy wszedłem do salonu, Lola stała koło fotela, jakby zamierzała za chwilę na nim siąść, i na tle dyskusji profesorów paplała głupstwa o swoim samochodzie.

– Ach, moi drodzy, wy nie wyobrażacie sobie wcale, wcale a wcale, co to za rozkosz mieć własny samochód. Pęd szybkości daje człowiekowi poczucie górowania nad naturą! Słuchajcie, ach, słuchajcie, kiedy człowiek siedzi przy kierownicy, wiatr szumi mu w uszach, a drzewa i słupy przydrożne zlewają się w jedno tło, to przysięgam wam, że nie czuje się swoich lat, wierzy się w wieczną młodość, wszyscy jesteśmy młodzi, prawdziwa starość jeszcze od nas daleko, *voilà!* I nie ma dla mnie w ciągu dnia rozkoszniejszej chwili niż ta, kiedy rano wsiałam do swojego auta i opadam na miękkie poduszki...

Tutaj Lola chciała pokazać, jak rano opada na poduszki swojego samochodu, i z całym impetem zamierzała opaść na fotel. Ale w tej chwili ja złapałem za poręcz fotela i ze słowami: – Nie zawsze opada się tam, gdzie człowiekowi zdaje się, że opadnie – odsunąłem fotel. Lola wydała krótki okrzyk i jak gumowy termofor napełniony wodą pacnęła o podłogę, złapała przy tym serwetę i rzuciła na siebie całą zastawę stołu. Nastąpiła grobowa cisza, salon skamieniał. Lola siedziała oszołomiona na ziemi, pokryta kanapkami z szynką i sardynką na przemian, obłana kawą i herbatą. Dokoła otaczały ją kamienne pomniki symbolizujące grozę. Dopiero po chwili profesor Janowski przerwał ten żywy obraz, zbliżył się do Loli i poprawiając binokle patrzył z ciekawością badacza to na nią, to na mnie, aż wreszcie zawołał głosem pełnym zdumienia:

– Ależ ten młodzieniec nie ma najmniejszego szacunku dla starszego wieku!...

Zaraz z kąta odezwał się profesor Michniewicz:

– Pan jak zwykle fałszywie ocenia to zjawisko, profesorze. Tym beztroskim figlem nasz młody przyjaciel dowiódł, że drogą panią Lolę traktuje jako rówieśniczkę, czym musiał jej sprawić niewątpliwie przyjemność, a zatem okazał jej swoje przywiązanie i szacunek.

Ale wtem ojciec wydał okrzyk, ktoś zerwał się z kanapy i w jednej chwili salon ożywił się nienaturalnie niby figurki nieruchomej na pozór szopki, które za nagłym pociśnięciem guzika ukrytego mechanizmu ożywają z martwoty: Matka Boska pochyla się nad żłóbkiem, zwierzęta przyklękają kołysząc głowami, aniołowie się radują, a trzej królowie suną z darami po drewnianych szynach, głośnie terkocząc.

Uznałem, że moja dalsza obecność w salonie nie tłumaczy się, więc wyszedłem. Prosto na ulicę. Zatrzymałem się dopiero przy witrynie księgarskiej i bezmyślnie przyglądałem się rozrzuconym książkom. *Ziemia gromadzi prochy, Niemcy cofają wskazówkę zegara, Kiedy znowu wojna?*

Wojna już jest, wojna się zaczęła – przesunęła mi się przez głowę myśl, obojętna jak skrawek papieru podmuchem wiatru niesiony ulicą. Myśl nie wysnuta z żadnych przesłanek i nie zmierzająca do żadnych rozwiązań. Byłem wzburzony i podrażniony. Oparłem czoło o zimne szkło witryny. Czułem się osamotniony, nieprzynależny do ludzkiego zbiorowiska.

Od dawna już żyłem w niezgodzie z otoczeniem. Miałem wstręt do szablonów i schematów wzajemnego obcowania ludzi ze sobą, prześladował mnie ustawiczny odruch korygowania na własną rękę wszystkiego, co wydawało mi się w życiu niesłuszne, fałszywe i niesprawiedliwe, a wreszcie już przez samą przekorę postępowałem na przekór wszystkiemu, co widziałem dokoła. Rzecz prosta, panujący układ międzyludzkich stosunków był silniejszy od jednostkowego działania protestów, które kończyły się zazwyczaj porażką moją, a zdumieniem opinii publicznej, że chłopiec z tak dobrego domu może być tak nieokrzesany. Ludzie wrażliwsi i bardziej mi życzliwi usiłowali oceniać takie postępowanie mniej surowo. Starali się ze szczyptą pobłażliwości i dobrego humoru tłumaczyć moje zachowanie naiwnym, choć szlachetnym idealizmem, dziecinną chęcią naprawienia ludzkiego świata, z którego arsenałem wad, ułomności i egoizmu nakazuje pogodzić się rozsądek.

– Świata i tak nie zmienisz – mówili oni. – Ludzi też nie, bo już tak jest. Po co sobie niepotrzebnie nerwy szarpać?

To „świata i tak nie zmienisz”, które często słyszałem, doprowadzało mnie do największej złości i umacniało w oporze. Cóż u diabła! Jeżeli w świecie nie ze wszystkim jest tak, jak być powinno, to dlaczegoż, u diabła, nie pozmienić, aby było dobrze?

Skutki moich utarczek były takie, że niczego nie mogłem doprowadzić do końca, bo zawsze się z kimś czy z czymś poróżniłem, a w szkole uczyłem się źle, zniechęcała mnie do nauki głupota nauczycieli i kolegów; w rezultacie wyrobiłem sobie opinię chłopca leniwego i niezdolnego do jakichkolwiek zadań życia.

Kiedy miałem lat szesnaście, rodzice, pragnąc dać mi należyte przygotowanie do życia, zapisali mnie na komplety lekcji tańca.

– Raz, dwa, trzy. Nóżka w lewo, nóżka w prawo. *En avant!*

Była to okrutna męka. Pod jedną ścianą stali chłopcy, moi szkolni koledzy, pod drugą dziewczęta, różne siostry i kuzynki-pensjonarki.

Z początku wszyscy byli onieśmieleni i unieruchomieni fizycznym wstydem, i to jeszcze można było znieść. Ale po kilku lekcjach towarzystwo zaczęło się ośmielać, zaczęło naśladować podpatrzone u starszych obyczaje i widowisko stało się obmierze nie do zniesienia. To przedszkole wielkoświatowych pajaców napełniło mnie wreszcie taką niechęcią i zgrozą, że stanowczo oświadczyłem ojcu, iż na lekcje tańca chodzić nie będę. Ojciec przyjął to z niezadowoleniem, ale nie widział możliwości zastosowania przymusu.

– Oczywiście! Tak jak zwykle z tobą – powiedział. – Do wszystkiego się zniechęcasz. Nie odpowiada ci nic, co służy opanowaniu właściwych form życia. Ty pewnie wolałbyś biegać po jakichś boiskach, boksach, foksach, hopsach (lubował się w powiedzonkach wątpliwej wartości), ale sposób, w jaki kieruje cię ojciec, który życie zna dobrze i przecież czymś nieczymś w tym życiu jest, to masz oczywiście za nic. Chcesz być mądrzejszy – zobaczymy, jak na tym wyjdiesz. Rób, jak uważasz. Jesteś w tym wieku, że nie mogę cię do takich rzeczy przymuszać.

Ojciec był zaciętym przeciwnikiem sportu. Gimnastyka szwedzka – i owszem. Ale sport!

– Sport – twierdził ojciec – to symbol schamienia, które grozi światu. Kult sprawności fizycznej przeciwko duchowym wartościom człowieka.

– Dziwię się – mawiał ojciec – że tak poważne pismo jak „Kurier Warszawski” posiada kronikę sportową. – Napisał nawet w tej sprawie do „Kuriera” list otwarty, przez co ośmieszył się nieco w mieście i jeszcze bardziej sport znienawidził.

Fakt, że ojciec tak ostro zwalczał kulturę fizyczną przeciwstawiając jej lekcje tańca, zawiódł mnie do klubu sportowego. Wybrałem sobie boks chyba dlatego, że ojciec powiedział: boksy, foksy. Zapisalem się więc na treningi bokserskie dla początkujących.

– Raz, dwa, trzy. Lewy prosty, lewy sierp, prawy podbródek! Ćwicz!

Pod drabinkami stali chłopcy, tak jak na lekcjach tańca, w moim wieku, trochę starsi lub trochę młodszy. Z początku wszyscy byli onieśmieni i unieruchomieni fizycznym wstydem, ale gdy to minęło, zrobiło się bardzo przyjemnie. Chłopcy trenowali z zapalem; były to proste chłopaki, podobali mi się.

Trener mówił: „Nie odkrywaj się, gamajdo, bo dostaniesz cios i pójdziesz na deski.” „Co stoisz na nogach jak drewniany pajac? Bez ciosu się przewrócisz.” „Tylko nie czaruj, bracie, bo nikogo nie zaczarujesz i ze swoimi czarami posłany zostaniesz do krainy marzeń.”

„Czarować” – znaczyło udawać technikę, nie posiadając jej. Na ringu nie można niczego udawać. Odślonisz się – pójdziesz na deski. „Czarujesz” – przegrasz walkę.

Niedługo zacząłem stawać do zawodów i jako Kowalczyk II odniosłem w wadze lekkiej zwycięstwo w „pierwszym kroku”. W domu nic o tym nie wiadomo. Ojciec myślał, że chodzę na gimnastykę, i pochwałał to.

Ale i moja sportowa kariera nie trwała długo. Żyłem na złej stopie z kierownictwem klubu, składającym się z różnych nie wyżytych fizycznie mecenasów i dyrektorów, którzy prowadzili politykę, jaka im była wygodna, nie licząc się z potrzebami ani uzdolnieniami chłopków. Z tego powodu wywołałem raz awanturę i zorganizowałem bunt; skutek był taki, że z klubu mnie wyrzucono.

Gdy ojciec dowiedział się potem o mojej karierze sportowej i jej zakończeniu, nie rozgniewał się, tylko zasmucił.

– No widzisz – powiedział – tak jak ze wszystkim u Ciebie. Wiesz, że nie lubię sportu, ale w tej historii coś innego mnie martwi. W niczym nie masz wytrwałości, do wszystkiego zapalasz się i rzucasz w połowie. A przy tym zawsze musisz się z kimś pokłócić.

Ale to już było dawno. Sześć lat między 16 a 22 rokiem życia to czas o wiele dłuższy niż taki sam okres w późniejszych latach.

Tego, co dziś zrobiłem z Lolą, nie żałowałem. Wydawało mi się, że to był odruch samoobrony przeciw uporczywym zamachom Loli na odpowiadający mojemu wyobrażeniu ład i przyzwoitość naszego domu. Tego ładu i przyzwoitości w sensie mojego wyobrażenia nie było ani w moim domu, ani w żadnym innym ze znanych mi domów warszawskich. Ale agresywność, głupota, sztuczna, gwałtem i zdradą narzucająca się żywotność Loli zagrażała, zdawało mi się, nawet nie zrealizowanym jeszcze w rzeczywistości wyobrażeniom. Do domu wracać nie zamierzałem. Sytuacja, jaką tam zostawiłem, nazbyt była niedorzeczna.

Ostatecznie odpowiadałem za swoje czyny jako dorosły mężczyzna i tym dokumentem winienem się legitymować przy spisywaniu protokołu. Ale jaki rodzaj protokołu można tu było zastosować? Honorowy? Gdzież tu znaleźć punkt honorowego zaczepienia w dysproporcji między wiekiem a czynem? Sądzę, że natychmiastowe wyjście moje z pokoju nie było tchórzliwą ucieczką, ale wyjściem jedynym z sytuacji, i zapewne wszyscy obecni przyjęli to z ulgą. Przy mojej nieobecności nie było trudno usprawiedliwić mnie nerwową chorobą i chwilowym zaćmieniem umysłu, zamiast potępienia obdarzyć współczuciem. To zresztą przyprawiało mnie o największą radość. Pałkarze z uniwersytetu, zrzucający z ławek Żydów bez względu na płeć i wiek, tnący ich żyłkami i łamiący im kości kastetami, to byli najzupełniej normalni młodzi ludzie w twardej i częstokroć okrutnej służbie „idei”. Można im było sprzyjać lub można było ich potępić. Ale potępienie nie sprowadzało genealogii czynów do psychopatii. Nie. To byli w pojęciu naszego salonu najzupełniej normalni młodzi ludzie, właśnie normalni i „choć może fałszywą obrali sobie drogę, to jednak czyni ich usprawiedliwiał fakt, że walczą dla dobra Polski, dobra, w którego skuteczność wierzą i które im przyświeca wzniosłym bądź co bądź ideałem”. Dla dobra Polski? Ach, tak? Więc ja,

usuając spod Loli Misińskiej krzesło, przysięgam, uczyniłem to również w intencji działania dla dobra Polski. Jeżeli nosiciele korporanckich *à la mode allemande* dekli i bambusowych lasek wstrząsał święty gniew przeciw Żydom, to mój gniew przeciw Loli Misińskiej nie był mniejszy. Tylko że stłuczony tyłek Loli nie pozostawał w żadnej godziwej proporcji do obitych pałkami głów, do pociętych żyłkami twarzy i połamanych kastetami kości.

Nie miałem po co wracać do domu. Nie mogąc znaleźć żadnego stosunku do moich czynów, ojciec uciekłby się zapewne do psychoanalizy, której nie przyszłoby mu przez głowę stosować wobec autorów potępianych przez siebie burd antysemickich. Miałem odruchowy wstręt do Freuda, psychoanalizy i wszystkich tych ponurych błędzeń wśród zawilości duszy ludzkiej. Im czyny moje istotnie były bardziej niejasne i dla otoczenia bardziej szalone, tym większą czułem tęsknotę za prostotą i bezpośredniością. Zateśniłem za chłopcami z klubu, za ringiem. Ach, znaleźć się teraz na ringu, gdzie jest jedna tylko sprawa: ty mnie albo ja ciebie! I gdzie tylko jeden problem: jak zręcznością i taktyką pokonać przeciwnika, który jak ja ma te same szanse – głowę, nogi, korpus i ręce, i jeszcze na tych rękach rękawice. Ale daremnie było o tym marzyć. Tamto było już daleko za mną. Nie wraca się do zakończonych losem spraw, chyba po klęskę. Zrobiło mi się żal rodziców. I dlatego także nie mogłem ich zobaczyć. Stanowczo ojciec miał rację: nie nadaję się do życia.

Tak myślałem sobie przed witryną księgarń, rozdarty, pełen niesmaku. Ludzie chodzili po ulicach tym krokiem niecierpliwego pośpiechu, kiedy dzień się kończy. Każde miasto na świecie ma swoją szczególną mgiełkę, którą niebo pod wieczór podkreśla miejską urodę, jak piękna kobieta twarz szminką. Odmienna jest różowa mgła paryska o świetlnych połyskach, lśniąco błękitna wenecka, migotliwie szara berlińska i gęsta jak grochówka przysłowiowa mgła londyńska. Warszawska mgiełka jest z gatunku krwistoceglastych, jak pył rozproszkowanej cegły unosi się znad Jerozolimskich Alei od strony, gdzie zachodzi słońce, i niby malarz delikatnym pociągnięciem pędzla podkreśla niewidoczne za dnia szczegóły, ustala właściwe wieczorowi proporcje światła i płaszczyzn i zawierając w sobie niedosłyszalną siłę muzyki nastraja tony miasta na matową nutę. O tej właśnie porze ludzie idą ulicami krokiem niecierpliwego pośpiechu, właściciele sklepów zasuważą z trzaskiem żelazne żaluzje, a gazeciarze wymachując wieczornymi wydaniem gazet wykrzykują tytuły ostatnich zdarzeń dnia, niebaczni, że sprawy dnia, załatwione czy nie, zostały zawieszone i zatrzymane zbliżającą się nocą, w której ludzie – albo znużeni czmychają w sen, jak latem w cień drzewa przed słońcem, albo otworzą szufladę z kartoteką spraw nocnych, odmiennych wymiarem, barwą i zapachem od dziennych, choćby nawet ze zdarzeniami dnia spokrewnionych.

Szedłem Alejami Jerozolimskimi w stronę mostu Poniatowskiego, który, nie chcąc podporządkować się dyktaturze ceglastej mgły, czmychał, szary i monotony, w daleki horyzont lasów i pól. Przechylony przez poręcz mostu patrzałem w wodę, która w sposób nieodwołalny i do znudzenia odwieczny przepływa między Warszawą a Pragą. Przechodnie oglądali się za mną (w przeciwieństwie do śródmieścia – po moście chodzi się wolno i nieobowiązująco), jak mi się zdawało, ze współczuciem. Może myśleli, że w odmętach Wisły zamierzam szukać rozwiązania trosk? Mylili się. Ja tylko bezmyślnie plułem w wodę, choć plucie w wodę nie zawsze bywa bezmyślne. Właściwie nie czułem już bezpośrednio ciężaru rozterki i żalu, które roztopiły się w oczywistości warszawskiego wieczoru. Jedynie na dnie ćmił niepokój, który wyrażał się stanowczym postanowieniem niewracania, przynajmniej tej nocy, do domu. Zawróciłem z mostu, wolno, nieobowiązująco szedłem w stronę Nowego Świata, koło Muzeum Narodowego, pociągnięty przykładem innych, usiadłem na ławce. Siedzenie na ławkach miejskich alei to śmieszna rzecz. Odpoczynek jest zasadniczo rzeczą intymną jak miłość i cierpienie. Tu funkcja odpoczywania odbywa się publicznie, publicznie zresztą na pozór, ponieważ każdy z odpoczywających zachowuje majestatyczną i filozoficznie świadomą obojętność wobec otoczenia, a właściwie wobec osób pozostających

w postawie pionowej i ruchomej, ponieważ między siedzącymi istnieje nieme porozumienie w obojętności i solidarności siedzenia. Gdyby komuś z siedzących przytrafiło się coś złego, inni pospieszyliby mu natychmiast i bez wahania na ratunek. Gdyby wszelako zdarzyło się nieszczęście na jezdni lub na chodniku, nikt z siedzących nie drgnąłby nawet, patrzyliby na zdarzenie, nie wychodząc z obojętności, jako na dystrakcję swojego siedzenia, jako na rzecz poza zasięgiem ich uczuciowych i fizycznych reakcji. Jeżeli istotnie, jak straszyla mnie w dzieciństwie służąca, snują się wśród nas żywych dusze zmarłych, to muszą one zachowaniem i wyglądem przypominać ludzi siedzących na ławkach miejskich alei. Wśród tych wszystkich, którzy owego wieczoru oddawali się wraz ze mną siedzeniu koło Muzeum Narodowego, było z pewnością wielu uciskanych jak ja brzemieniem codziennych i niecodziennych trosk, ale w danym momencie nie wyczytałoby się na pewno niczego ani z ich twarzy, ani z wnętrza. Człowiek siedzący na ławce miejskiej alei zawiesza wszystkie inne sprawy i oddaje się bez reszty funkcji siedzenia. Błogosławione ławki miejskich alei!

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, fizycznie i intelektualnie podobny do śpiącej muchy. Ptak na pobliskim drzewie wygwizdywał początek środkowej frazy ronda z *Koncertu e-moll* Chopina. Tę frazę urwaną kończyłem i to był jedyny kontakt między istnieniem w sensie naturalnym a sztucznym tworem ludzkiego intelektu. Ktoś poprosił mnie o ogień, ocknąłem się. Było już ciemno. Poczulem głód. Wstałem, a wraz z powstaniem zbiegły się złe myśli.

Idąc w kierunku Marszałkowskiej przeciąłem Nowy Świat. Za rogiem przyciągnęła moje oczy jaskrawość wejścia do „Café Clubu”. Napis neonowy koloru fioletowego: „Café Club”, przy czym *u* tliło się zaledwie i mrugało. Neony – jeden z nie udoskonalonych wynalazków dwudziestego wieku. Okazały i przyjazny portier w mundurze generała z operetki. Światła, jak ślubny dywan na schodach kościoła, wypełzające z wnętrza na chodnik ulicy. Nocny lokal, ten okręt uwożący zatroskanych pracowników dnia w nie obowiązujące, a częstokroć burzliwe przygody nocnych krain, wydał mi się odpowiednim w tamtej chwili środkiem komunikacji dla odbicia od lądu, na którym i tak traciłem grunt pod nogami. Było mi obojętne, że za byle jaki kęs pożywienia zapłacę tutaj czterokrotną cenę. Miałem przy sobie stosunkowo dużo pieniędzy. Nie zapłacone chesne. Uważałem, iż jest to należny mi łup wojenny z dzisiejszych potyczek. Pora nocnego życia była jeszcze wczesna, lokal wyludniony. Kelnerzy chodzili wolno i spokojnie jak doświadczony dowódca przed bitwą. Okazywali godność i wyższość nad światem, które maskowali potem przed gośćmi ukłonami i wytrawną uprzejmością, *maître d'hôtel* poprawiał muszkę przed lustrem, nie bardzo apetyczna dziewczyna z kwiatami dłuhała w nosie, fordanserki skupione w łóży rozmawiały z ożywieniem, a orkiestranci grali niepotrzebnie i hałaśliwie, starając się dla wprawy udawać, że czynią to z miłości dla sztuki oraz dla własnej przyjemności. Wejście moje wprowadziło na moment ton oficjalny, kelnerzy ustawili się jak zawodnicy na starcie stumetrówki, *maître d'hôtel* skłonił się w sposób dający do zrozumienia, że doskonale jest poinformowany, jak bardzo jestem osobą godną szacunku, fordanserki przerwały rozmowę i patrzyły tępo w moim kierunku, skrzypek podrzucił w górę smyczek wykonując ruch taneczny i tylko gapiowata kwiaciarka nie przestawała dłuhać w nosie, po czym całe towarzystwo otaksowało mnie na studenta, który nie zapłacił chesnego, i lokal powrócił do nastroju oczekiwania. Wszedłem do cocktailbaru i usiadłem na wysokim stołku. Ulizany barman skłonił się grzecznie, ale raczej z poufałością sportową. Przyzwyczajony był do bezpośredniego obcowania z gośćmi; oddawał im drobne, czasem finansowe usługi, od jego taktu i zręczności zależało pohamowanie zbytniego pijaństwa, czuł się raczej czymś w rodzaju wyrozumiałego przyjaciela młodzieży niż płatnym i zabiegającym o względy sługą. Zresztą z racji wirtuozowskiej sztuki mieszania cocktailów czuł się również poniekąd artystą. Zamówiłem befszytk i sałatę, kazałem sobie dać duży kieliszek wódki, który natychmiast wypilem. W kącie baru siedziała dziewczyna w wieczorowej kremowej sukni, kosmyk popielatych włosów opadał jej na policzek,

podpierając ręką brodę, wpatrywała się tępo i bezmyślnie w rząd kolorowych butelek. Kiedy wszedłem, nie spojrzała w moim kierunku, nie drgnęła nawet. Wspólna obecność w pustym barze, niejako przy tym samym stole, była trochę krępująca. Nie wydawała się wcale krępująca dla niej: zachowywała kamienną obojętność, nie zadała sobie nawet trudu, ażeby strzepnąć muchę, która usiadła jej na nosie. Obserwowałem ją spod oka. Rysy twarzy miała nieskomplikowane, ale regularne i ujmujące przez wyraz dziecinnej naiwności, uwydatniający się szczególnie rozchylonymi jakby ustawicznym zdumieniem, pełnymi ustami i rozszerzonymi, niby pytającymi zielonymi oczami. To wrażenie wzmacniała świeżość cery i brak szminki, nadużywanej zazwyczaj przez amatorskie i zawodowe pracownice fachu pokrewnego miłości. Zdawało mi się, że zмага się uporczywie z jakimiś myślami, że intensywnie coś przeżywa, ale twarz jej i postać wyrażały coś pośredniego między płuciem z mostu a siedzeniem na ławce; trudno mi było odgadnąć, czy nie ulegam złudzeniom, czy dziewczyna swoją pozą nie ogranicza się po prostu do zwykłej nudy bezmyślnego przyglądania się kolorowym butelkom. Fordanserki to nie był typ kobiet, które w jakikolwiek sposób by mnie interesowały. Raziła mnie ich sztuczność, pretensjonalność, wymaganie od mężczyzn zorganizowanej układności, cichy, pokrywany pewnością siebie żal do świata z powodu pozycji socjalnej i oszukańczo wraz z gościem stosowany szablon rzekomego zdobywania, o którego ostatecznym wyniku decydowała, mniej lub bardziej bezpośrednio, zawartość portfela.

Przyznam się, że w ogólności uwodzenie dziewcząt zdawało mi się zajęciem jałowym i nużącym. Był to raczej pojedynek, kto w rezultacie okaże się głupszy, niż choćby najpłycej pojęta sprawa miłości. Do dziewcząt o nieprofesjonalnej kobiecości stosowało się mniej więcej ten sam szablon co u fordanserek. Należało im mówić mniej więcej tak, że są inne niż wszystkie dotąd napotkane, i przez odpowiedni gest i mimikę dawać do zrozumienia, jak silnie uczyniły wrażenie. Nie chce mi się doprawdy wymieniać rozmaitych wariantów tego błazeństwa, i tak znakomicie znanych młodszym i starszym osłom i oślicom. Nie mogąc i nie umiając mimo niewątpliwych tęsknot za zdobywaniem ciał i dusz kobiecych stosować różnych gatunków tego szablonu, przeciwnie, wyłamując się prostodusznie z jego najpospolitszych praw, zyskiwałem sobie na ogół wśród kobiet niechęć i, podobnie jak w innych kołach, opinię źle wychowanego. Ale dziewczyna w kącie baru wydała mi się istotnie inna niż przeciętny typ fordanserki.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI